

# PRZYGODY i PODRÓŻE

25  
GROSZY



F. A. OSSENDOWSKI

ZŁOTO  
CZERWONYCH  
SKAŁ

TYGODNIK DLA MŁODZIEŻY

12

# Złoto czerwonych skał

Ferdynand Ossendowski



Sp. Wyd. „Nowa Literatura”, Warszawa, 31 VIII 1934

Pobrano z Wikizródół dnia 20.01.2018

# ZŁOTO CZERWONYCH SKAŁ

Napisał F. A. Ossendowski

Mróz tężał. W jego śmiertelnym uścisku pękała lodowa powierzchnia jeziorka, co leżało pod grubą pokrywą śnieżną, znacząc się ciemnym otokiem żalonych trzcin i szuwarów.

Dokoła stała milcząca, nasępiona puszcza — straszliwa, podstępna zawsze „tajga“ syberyjska.

Świerki, koszlawe i pokraczne, opuściły szerokie łapy, obciążone wysokimi czapami śniegu. Olchy, osiki i brzozy wyciągały ku niebu nagie gałęzie, okryte srebrzystą sadzią, skrzącą się na słońcu milionami djamentów. Białe niebo, jakgdyby zamarznęte, nie wchłaniało słabych promieni światła, odrzucając je na biel ziemi — uśpionej lub umarłej.

W puszczy panowała cisza, przygnębiająca i beznadziejna.

Odczuwał ją człowiek, stojący nad wyrąbaną przerębłą i oglądający dopiero co wyciągnięty wieńcierz, w którym uwikłało się kilka dużych ryb.

Człowiek ten, o młodej twarzy i miękkim zarostem na chudych policzkach, zwracał niebiesko-szare oczy ku tajdze, a wtedy w źrenicach jego miotła się przerażenie i rozpacz.

Z niewysłowioną radością pochwytывał on najśłabszy dźwięk, zrzadka dobiegający z mateczników leśnych. Gdzieś daleko z suchym trzaskiem rozpękł się stary pień świerkowy, na kamień zmarznęty; z innej strony echo przyniosło urwany skrzek sójki. To i — wszystko. Poza tem — cisza bezbrzeżna,

otchłanna i martwa.

Wydobywszy ryby i opuściwszy sieć pod lód, człowiek zaczął wchodzić na wysoki brzeg. Tam, wśród brzoź stała chatka, a raczej barłóg, sklecony z okrągłaków i okryty nieheblowanymi szczapami. Niziutkie drzwi i jedyne okienko, zaklejone przetłuszczonym papierem, widniały od strony południowej.

Człowiek pchnął drzwi nogą i wszedł do półciemnej izdebki.

Mały, bury piesek, kosmaty i ponury, wstał na jego spotkanie i, przechyliwszy głowę nabok, strzygł śpiczastymi uszkami i z ciekawością przyglądał się zdobywcy.

Położywszy ryby na stole, człowiek ogarnął wzrokiem swoją siedzibę.

Znał ją dobrze, bo trzeci to już rok mieszkał na tem odludziu, w obcej ziemi, w nędznej norze, skazany na niechybną śmierć, która tylu innych porwała w swe zimne objęcia.

Tuż koło ogromnego, niezgrabnego pieca rosyjskiego, stała szeroka prycza z siennikiem, poduszką i czarnym kozuchem baranim. Na ścianie nad posłaniem wisiała skóra niedźwiedzia, a na niej obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, jakaś fotografia i strzelba.

Pod okienkiem mieścił się stół, a na nim — kilka książek polskich, blaszanki z prochem i przyrządy do wiązania sieci. Na przypiecku leżała siekiera, duży nóż; na półce stał kociołek, kilka garnków glinianych i trzy kubki blaszane.

Mieszkaniec chatki westchnął głośno.

Przypomniał sobie, że jeszcze w 1905 r. studjował w Akademii Górniczej w Krakowie, lecz podczas pobytu w Warszawie porwała go fala rewolucji, zmusiła spoliczkować

moskiewskiego żandarma i podzielić los tysięcy wygnańców polskich, rzuconych przez dzikiego najeźdźcę na poniewierkę i śmierć w niedostępnych uroczyskach tajgi syberyjskiej.

Nie miał już imienia i nazwiska, figurując na liście zesłańców politycznych, jako Nr. 817. Nikt tu nie wiedział, że nazywano go niegdyś Henrykiem Łoskim. Wiedziały zato władze syberyjskie, że nie przetrzyma dziesięciu lat wygnania i że nigdy nie powróci już do dawnego życia. Pozwolono mu umierać powolnie, lub w szale rozpaczy rozsadzić sobie głowę wystrzałem ze strzelby, usłudźnie podsuwanej przez policję najdalej osiedlonym zesłańcom.

Henryk Łoski miał zaledwie 27 lat, posiadał dobre zdrowie i niewyczerpany zasób sił. O śmierci więc nie myślał, a z samotnością, mrozem i głodem walczył zacięciem i zwycięsko. Zawdzięczał to nieprzerwanej pracy. Opatrzył i tak naprawił chatę i piec, że najostrzejsze mrozy i szalone śnieżyce nie miały już nad nim mocy. Wymyślił pułapki i sidła niezawodne na sobole, kuny i przeróżne ptactwo. Za drogie futerka nabył w dalekiej wsi worek żyta, piłę, dłuta, rydło i kilof, sporządził sobie sochę drewnianą, wypalił szmat lasu i założył pole.

Nie zaznał ani razu zimna i głodu. Dokuczała mu tylko i truła go samotność. Odpędzał ją, czytając przywiezione ze sobą książki. Znał je na pamięć, lecz, przeczytując je po raz setny, znajdował zawsze coś nowego i coraz bardziej porywającego go i krzepiącego na duchu.

Łoski spostrzegł, że papier, zastępujący szyby, zarumienił się nagle.

Zimowe dni na Syberji krótkie są straszliwie i, chociaż dobiegała dopiero godzina 4-ta, słońce zapadać już zaczęło za puszcze.

Zmierzch zgęszczał się coraz szybciej.

Łoski zapalił lampkę łojową i postawił ją na stole. Dorzuciwszy kilka drzazg na jarzące się w piecu węgle, wziął ryby i wyszedł na dwór.

Już skończył z tem i zawrócił ku domowi, gdy łososiowate, najbardziej poszukiwane na Syberji ryby, powiesił na gałęzi brzozy, a czwartą jął skrobać i patroszyć.

Już skończył z tem i zawrócił ku domowi, gdy nagle drgnął i stanął, jak wryty.

Po puszczy, odbijając się od drzewa do drzewa, biegło nagle spłoszone echo, aż zamarło na przeciwległej stronie jeziora, gdzie w lecie ciągnęły się bagna i rozlewiska głębokiej, rdzawej rzeczki.

Łoski zmarszczył brwi i zacisnął zęby.

— Do diabła! — zamruczał do siebie. — To zapewne ten drab Ratimow zawitał w moje strony.

Istotnie, była to nader przykra okoliczność. Kozacki setnik Iwan Ratimow — brutalny, złośliwy gbur — miał pod swym dozorem wszystkich zesłańców obwodu i w zimie, raz do roku odwiedzał ich, aby się przekonać, czy żyją jeszcze i czy nie zdradzają objawów szaleństwa, co go zwykle cieszyło niezmiernie, gdyż mógł już nie dostarczać im prochu, mąki, soli i ołowiu.

Odwiedziny setnika stawały się nieszczęściem dla rzuconych na pustkowie ludzi, zależnych całkowicie od wstrętneho i okrutnego ciemieżcy. Znęcał się nad nimi, straszył, grożąc przeniesieniem do innej, jeszcze bardziej bezludnej miejscowości, lub wtrąceniem do więzienia, zawsze czegoś nie dodał, coś urwał, a nawet zabierał nieraz upolowaną zwierzynę, jeżeli tylko przedstawiała dla niego jakąś wartość.

— Ratimow... — szepnął młodzieniec, gdy echo umilkło nad zamarzniętym moczarem.

Szybkim krokiem powrócił do chaty, zgarnął ze stołu książki, wyciągnął z pod pryczy kilka skórek soboli, popielic i kun i, wybiegłszy z domu, ukrył wszystko w lesie.

Gdy powrócił, zapadła już noc. Ratimow nie przyjeżdżał jednak.

— Czyżby miał mnie ominąć?! — mignęła Łoskiemu radosna myśl.

Pokrajawszy rybę na kawałki, wrzucił ją do kociołka, posolił i dodał jakichś suchych ziół, w lecie uzbieranych w puszczy.

Setnik nie przybywał.

Łoski wyszedł przed chatę i nadśluchiwał.

Zaciekawiony jego niepokojem piesek wybiegł za nim i stanął obok, poruszając uszami i węsząc.

Stali tak dość długo, wpatrzeni w mrok i zasłuchani w ciszę.

Skądś zdaleka napłynęła jakaś jękliwa i drapieżna zarazem nuta, przeciągła i budząca mimowolną trwogę i zgrozę. Zdawało się, że ten przykry, drażniący dźwięk, zrodziwszy się gdzieś daleko, opadł ciężko nad puszcza, wypełniając jej mrok i zakradając się do najodleglejszych ostępów, gdzie noga ludzka nigdy nie powstała, a gdzie zaglądać ośmielał się chyba tylko ryś centkowany — zuchwały i dziki duch leśny.

Wygnaniec znał ten dźwięk, słyszał go bowiem nieraz dobiegający z szuwarów i haszcz wiklinowych, w których ukryte były łęgi wilcze.

Tego jednak wieczora inaczej się wszystko odbywało. Na dalekie, zewne wycie starego zapewne basiora odzywać się zaczęły wilki z całej tajgi. Głosy ich zlały się w jeden straszliwy, złowieszczy chór zawodzeń, to zbliżający się, to

znów niemal milknący woddali.

Nie umilknął jednak zupełnie, bo z nową siłą rozedrgał się i spotęźniał poza niedużym borem sosnowym, gdzie przez piachy i porozrzucane tam i sam głazy granitowe biegła jedyna droga od wsi, odległej o 100 kilometrów, do małej osady rybackiej nad Obią, do której od chatki Łoskiego liczone conajmniej 80 kilometrów.

Wilki szalały. Wycie ich urwało się nagle i przeszło w głuche, ochryple szczekanie i wściekły skowyt.

Wyczuł to piesek wygnańca, bo przykucnął tuż przy jego nogach i, drżąc na całym ciele, jeżył sierść na karku i warczał cicho.

— Coś się tam dzieje, mały Burku, ale co? — zapytał go Łoski, wsłuchując się w pogmatwane zgiełkliwe odgłosy wilczego koncertu.

Piesek uniósł mądry łeb i pisnął cieniutko.

I znowu dobiegł Łoskiego huk dalekiego wystrzału, a po nim natychmiast drugi i trzeci. Przebiły się one poprzez skowyt i szczekanie wilków i pobiegły ponad tajgą, unoszone przez echo — dalej i dalej.

Umilkły wilki i znowu zapadła cisza, jakaś groźna i złowroga, a wtedy stojący na skraju lasu człowiek usłyszał daleki, ledwie uchwytny, rozpaczliwy krzyk, z ludzkiego wydobywający się gardła:

— Na-a-po-o-mo-oc! Na-a-a po...

I znowu jeden po drugim dwa strzały...

Łoski drgnął mimowoli, gdyż zrozumiał już wszystko: i to, że wilki napadły na człowieka, jadącego drogą, i to, że odpędzał je strzałami z rewolweru, i wreszcie, że osaczyły go ze wszystkich stron, więc, broniąc się, wypuścił ostatnie dwie



kule.

— Tak, tak! — mruzczał wygnaniec. — Strzelił sześć razy, a teraz zginie, chyba, że zdążył schronić się na drzewo...

Rozważanie to przerwało mu nowe wycie i skowyt wilków, ich głuche i złe ujadanie.

Nie myśląc już teraz o niczem poza tem, że gdzieś ginie człowiek, Łoski wbiegł do chaty, porwał strzelbę z ładownicą, zatknął siekierę za pas i, przyczepiwszy krótkie, szerokie narty syberyjskie, dobre dla biegu w lesie, szybko ruszył na pomoc nieznanemu, sunąc wydeptaną przez siebie ścieżką, którą wczoraj jeszcze przebiegał, aby obejrzeć pułapki, zastawione na kuny.

Mknął, nad słuchując i starając się domyśleć, co się dzieje w tej chwili na drodze, skąd dochodziło coraz wyraźniejsze wycie i szczekanie wilków i jakgdyby pełne bólu kwilenie konia.

— Oby tylko zdążyć na czas, oby zdążyć, o Boże! — szeptał przez zaciśnięte zęby i pędził, co tchu starczyło.

Wreszcie tajga rzednąć zaczęła. Łoski wpadł w niską, gęstą porośl, hamującą bieg. Zrzuciwszy narty, przedzierał się przez haszcze i wysokie wydmy śnieżne.

Wypadł wkońcu na drogę, skąpaną w świetle księżyca w pełni.

Głosy wilcze dochodziły z prawej strony, spoza załomu drogi.

W kilka susów stanął na zakręcie i przyjrzał się, ukryty za małemi świerkami.

Teraz wszystko stało mu się jasne.

Na drodze czerniły się sanki, a na nich dwoje ludzi.

Zgraja wilków, zatrzymawszy konie zagryzła je i teraz, walcząc o miejsce, miotała się z wyciem i skowytom nad

drgającymi jeszcze ciałami zwierząt, szarpiąc je i wrywając im wnętrzości. Jeden wilczura, zapewne, ranny, siedział na zboczu drogi i wył przeraźliwie. Trzy inne, nie zwracając uwagi na krwawą ucztę swych towarzyszy, napadały na ludzi, skacząc na nich i odbiegając nagle, gdyż osaczeni bronili się kijami, wydając rozpaczliwe krzyki:

— Na pomoc! Na pomoc!

Zapomnieli, widać, że znaleźli się w najdzikszej, przez nikogo niezaludnionej tajdze i, że nikt ich nawoływań usłyszeć nie mógł.

Łoski nie namyślał się długo. Dał nura do gąszczu i chyłkiem jął się przedzierać obok drogi, zbliżając się do miejsca walki. Przystanął wreszcie i wytknął głowę ponad zarośle.

Od wilków dzieliła go odległość jakichś trzydziestu kroków.

Drapieżna zgraja była tak zajęta szarpaniem koni i napadem na ludzi, że nie zwęszyła go narazie.



Szybko podniósłszy strzelbę do ramienia, strzelił do uwijających się koło sani wilków. Jeden padł odrazu, drugi, kulejąc i kłapiąc kłami, pokulał w stronę krzaków. Dopiero gdy drugi strzał obalił starą wilczycę, cała zgraja rzuciła się do ucieczki, lecz Łoski zdążył strzelić jeszcze dwa razy, zabijając jedną sztukę i zapewne raniąc inne, bo świadczył o tem żałosny skowyt wilków, niewidzialnych już w gąszczu i ciemności.

Łoski wyszedł na drogę i skierował się ku saniom.

Stojący w nich ludzie rzucili się do niego, obejmowali go za kolana i całowali po rękach, wołając:

— Zbawco nasz, niech Bóg wynagrodzi cię stokrotnie...

Wygnaniec przyjrzał się nieznajomym i osłupiał.

— Setnik Ratimow! — wyrwał mu się okrzyk zdumienia, lecz po chwili uspokoił się i cofnął rękę, którą kozak okrywał pocałunkami.

— Och, gdyby nie wy, pożarłyby nas wilki!.. — wołał Ratimow. — Wyruszyłem na objazd z młodą żoną... Pobraliśmy się dopiero przed miesiącem, więc nie chcieliśmy się rozłączać... Aż tu koło Czerwonej Strugi jęła ścigać nas ta oto stara wilczyca, coście ubili ją drugim strzałem. Pędziła za nami podła, latarniami świeciła i nawoływała, aż się zbiegła cała zgraja! Konie nam zarznęły przekłete wilki, i do nas dobierać się zaczęły. Na szczęście miałem ze sobą zapasowy dyszel, więc porąbałem go na dwie części i tem broniliśmy się, ale już sił nam brakło... Gdyby nie wy... oj, pomyśleć nawet strasznie...

Schwyciwszy rękę Łoskiego, znów przycisnął ją do zimnych warg, a wygnaniec poczuł, że okrutny, brutalny zawsze setnik płacze.

— Uspokójcie się, setniku! — powiedział Łoski. — Nic już

wam nie grozi! Posłyszałem wasze strzały i wołanie, bo, na szczęście, taka cicha dziś wypadła noc.

— Toście aż z chaty przybiegli? — zdziwił się kozak.

— No, tak! — odpowiedział wygnaniec. — Posłyszałem wołanie i pobiegłem, aby pomóc...

Ratimow milczał i swemi czarnymi oczami uważnie i ostro wpatrywał się w spokojną twarz Polaka — „buntownika“.

— To taki z was człowiek?.. — szepnął po długiemi milczeniu i, sam nie wiedząc dlaczego, zdjął raptownie przed Łoskim barankową czapę.

Wygnaniec zaprosił uratowanych przez siebie ludzi do chaty, zapalił w piecu i jął przyrządzać wieczerzę.

Żona setnika, młoda i łagodna kobiecina, dopomagała mu, opowiadając ze wszystkimi szczegółami swoją niebezpieczną przygodę.

Ratimow siedział w kącie i nie spuszczał oczu z Łoskiego. Myślał nad czemś, marszczył czoło i poruszał ciemnymi wargami.

Po wieczerzy, przenikliwym wzrokiem patrząc na wygnańca, spytał go:

— To takich ludzi car na śmierć posyła?

Łoski w milczeniu wzruszył ramionami, lecz nic nie odpowiedział.

— No, tedy ja mu pokażę, co Ratimow potrafi! Ja mu pokażę!

Głos jego drgnął zawziętością i nienawiścią. Opuściwszy kosmatą głowę, zadał nowe pytanie:

— Chcielibyście odzyskać wolność?

— Któżby jej nie chciał?! — uśmiechnął się Łoski. — Wczoraj w sidła wpadła mi kuna. Żebyście tylko widzieli, jak

się wyrywała!

— Oj — tak! — westchnęła kobieta. — To — kuna, a cóż dopiero człowiek...

Rozmowa się urwała, bo gospodarz zaproponował gościom, aby urządzili sobie wygodne posłanie.

Ratimow z żoną dwa tygodnie mieszkał u Łoskiego, — tyle właśnie czasu, ile potrzebował pomocnik jego — wachmistrz, aby zaalarmować władzę wyższą i rozpocząć poszukiwania zaginionego setnika.

Przed wyjazdem Ratimow skinął na wygnańca i nieznacznie wymknęli się razem do lasu.

Zatrzymawszy się w gąszczu, dotknął ramienia Polaka i szepnął do niego:

— Codziennie będę się modlił za was, panie... aż do śmierci, boście nas uratowali, przygarnęli i niczem — ani słowem, ani spojrzeniem nie okazaliście mi pogardy i nienawiści za krzywdę, którą wam nieraz wyrządzałem!..

— Uratowałem człowieka — brata i bliźniego, w moim zaś domu widziałem w was gościa, setnika, — spokojnym głosem odpowiedział Łoski. — Taki jest nasz obyczaj polski!..

Ratimowowi łyzy nagle błysnęły w oczach. Pohamował jednak wzruszenie i, pochylając się niżej, szeptał dalej:

— Postanowiłem dopomóc wam w ucieczce stąd... Bez pieniędzy nie uciekniecie jednak, a ja ich nie mam... Słuchajcie tedy, a ważcie każde moje słowo, pytajcie, czego nie zrozumiecie, bo od tego może zależeć będzie wasze życie!..

Długo potem rozmawiali i naradzali się kat i gbur Ratimow i młody wygnaniec polski.

Kozak coś kreślił na śniegu i raz po raz powtarzał:

— Poznacie tę ścieżkę!.. Sosna, rozłupana przez piorun...

kładka przez rdzawy potok... Zaciosy na brzozech... no i o jakie trzy wiorsty dalej... Czerwone Skały... Tam, w suchem łożysku kopać należy... Złota tam, co lodu!.. Gdy wykopiecie, ile trzeba, przekradajcie się do mnie drogą, która na Mureń biegnie... Już ja sporządzę dla was paszport... taki, że policja salutować wam będzie, a gdy otrzymam od was z domu list, wtedy raport do gubernatora napiszę, że zmarliście na wygnaniu...

Łoski z wdzięcznością spojrział na setnika i zawołał z wybuchem:

— Ja też nigdy o was nie zapomnę!

— Więc na wiosnę — w drogę? — przerwał mu kozak.

— Na wiosnę będę już przy Czerwonych Skałach, — odpowiedział wygnaniec, ściskając mu rękę. — Dziękuję wam!..

Ratimow tylko ręką machnął i zawrócił do domu.

\* \* \*

\*

Wiosna roku 1909-go wypadła na Syberji niebywale wcześnie.

Łoski jednak nie czekał na jej przyjście.

Po odjeździe setnika z żoną i przybyłych po nich kozaków, sporządził sobie długie, wąskie sanki, używane przez łowców — Samojedów. Naładowawszy na nie swój dobytek, gwizdnął na Burka i bez żalu opuścił chatkę, w której poznał zgrozę samotności.

Nie obejrzał się nawet.

Zamknął jeden okres życia i szedł ku drugiemu. Na

ogłądanie się nie miał czasu. Wspomnienia zaś — dobre i złe — odkładał na przyszłość.



Ciągnąc za sobą sanki, w czem mu wiernie pomagał piesek, posuwał się na północno-wschód. Marsz ten odbywał się powolnie, lecz odbywał się

nieprzerwanie całymi dniami, z wyjątkiem krótkich popasów, potrzebnych na łowy i przyrządzenie strawy.

Niedawny wygnaniec, obecnie — już zbieg, gdyż Łoski przekroczył już był zapewne wyznaczony mu obwód, nocował w puszczy, pod zwisającemi, zdobnemi w śnieżne okiście, łapami świerków, gdzie płonęło małe ognisko, grzejąc człowieka i psa i odpędzając drapieżne zwierzęta, jeżeliby zwęszyły ich w kniei.

Mijały dni i tygodnie, aż nastały roztopy. Pod coraz cieplejszemi promieniami słońca przyszły one nagle i zmieniły puszcę w jedno olbrzymie bagnisko.

Łoski pamiętał rady i nauki setnika, więc, przedzierając się przez tajgę, badał uważnie lód na rzeczkach i śnieg na odkrytych polanach.

Roztopy nie były dlań niespodzianką.

Przewidział je ściśle, prawie do dnia i godziny niemal.

Gdy wezbrana woda wystąpiła spod lodowego pancerza i, wsiąknąwszy w śnieg, zalała puszcę, zmieniając ją w nieprzebyte trzęsawisko, Łoski z Burkiem rozbili obóz na wyniosłym, piaszczystym pagórku, porośniętym płaszcząciami się brzoza. W ich gąszczu paliło się ognisko i w nocy oświetlało wnętrze szałas, zbudowanego z gałęzi i suchych trzciny.

Wędrowiec nie miał żadnych kłopotów z żywnością, bo wioził ze sobą trzy worki sucharów i mąki, a mięsa dostarczała mu... wiosna syberyjska.

Puszcza zamieniła się w ogromne jezioro.

Wszystko, co żyło w kniei, szukało ocalenia na pagórkach. Tam, gdzie obozował Łoski, roiło się od zajęcy, lisów, a w dzień zlatywało się nawet ptactwo, szukające żeru na ziemi. Korzystając z tego, wędrowiec strzelał do zajęcy, cietrzewi, głuszców i śnieżnobiałych pardw, lub chwycił je w sidła.

Przesiedziawszy wśród roztopów i bagien prawie miesiąc, ruszył dalej.

Łoski namozolił się straszliwie, zanim dobrnął do polany, otoczonej koszlawami brzoza, pochyłonymi ku zachodowi.

Na drzewach tych odnalazł niebawem ślady starych zaciosów, narąbanych siekierą na grubych pniach, wykrzywionych i okrytych szaremi, suchymi porostami.

— Nie zbłądziliśmy! — ucieszył się Łoski, z trudem ciągnąc sanki po błotnistej, grząskiej ziemi i wypatrując miejsc, gdzie białe jeszcze płachty śniegu, po których wąskie płozy ślizgały się łatwiej i prędeej.

Tegoż dnia doszedł do Czerwonych Skał, gdzie miał znaleźć wskazaną mu przez setnika krainę złota.



Ledwie jednak wynurzył się z ciemnego wąwozu na obszerną równinę, ze wszystkich stron otoczoną górami, zatrzymał się nagle i wydał cichy okrzyk zdumienia i rozczarowania.

Pod stromym brzegiem potoku, czy rzeki, stało kilka szałasów, a z ich stożkowatych wierzchołków unosiły się słupy dymu.

Nie wątpił już, że ktoś inny przed nim posiadał, lub przypadkowo wykrył tajemnicę Ratimowa.

Nie miał jednak czasu namyślać się nad niespodziewaną przeszkodą, gdyż z jednego z namiotów wybiegło dwóch ludzi, rozległy się strzały, a kule, gwizdnąwszy przeciągle, z suchym szelestem uderzać zaczęły w pnie drzew i nagie gałęzie krzaków.

Łoski podniósł rękę i, wymachując nią nad głową, krzyknął z całej siły:

— Nie strzelać tam do stu piorunów! Nie poznaliście mnie, czy co?!

Wykrzyknął to, nie wiedząc, do kogo właściwie skierowuje te słowa.

Strzały jednak ustały i pięciu ludzi, stłoczonych do kupy, przyglądało się zbliżającemu się przybyszowi.

Gdy Łoski podszedł do nich na sto kroków, jeden z nieznanomych zawołał:

— Stój i gadaj, kto, skąd i poco?

Znużony śmiertelnie wędrowiec usiadł na saneczkach i, uspakajając warczącego groźnie Burka, odpowiedział:

— Polak, zesłaniec polityczny z Olchowej tajgi... po złoto...

Spodziewał się, że po tej odpowiedzi dostanie kulę, lecz się pomylił. Pięciu nieznanomych ruszyło w jego stronę i wkrótce

otoczyło sanki.

— Ha, — zamruczał jeden z nich, — to tak, jakby swój! Zapewne znudziło ci się, i — zwiąłeś?

Łoski potwierdził ten domysł skinieniem głowy, przyglądając się stojącym przed nim ludziom.

Zrozumiał odrazu, z kim ma do czynienia. Nie wąpił już, że natrafił na obozowisko włóczęgów, rekrutujących się najczęściej ze zbiegów więziennych.

Istotnie, jeden z nich — potężny, rudy, kudłaty olbrzym, miał wypalony na czole numer — niezawodną oznakę więźnia kryminalnego z katongi.

Ludzie ci żyli zwykle z jałmużny, lecz w pewnych chwilach mogli się stać niebezpiecznymi, napadając na samotnych podróżnych, na pocztę, a nawet na małe osiedla. Oni to też, unikając spotkania z policją i błakając się całe życie po tajdze, wykrywali pokłady złota i srebrnej rudy, azbest, węgiel i piaski, zawierające drogie kamienie.

Nie było to zbyt przyjemne i korzystne dla Łoskiego towarzystwo, lecz młodzieniec niczem nie zdradził swego niezadowolenia i obawy. Siedział i spokojnie spoglądał na włóczęgów, na ich straszliwie obrośnięte, osmolone w dymie ogniska twarze, na łachmany, okrywające wychudłe postacie, i uśmiechał się.

— Jakżeż to wywachałeś złoto w tych łożyskach? — pytali go wszyscy naraz.

Łoski zamyślił się nad odpowiedzią, obawiając się jej wyników.

Nareszcie wybrał jedną — dość wiarogodną i nie budzącą podejrzania.

Kiwając głową, odparł pewnym głosem:

— Byłem tu już raz... przed laty, jako student-górnik... na praktyce....

Chłopom oczy się rozjaśniły nagle.

Klepiąc przybysza po ramieniu i przerywając sobie wzajemnie, wołali radosnymi głosami:

— A to dopiero — „fart“ (szczęście)! Pokażesz nam, gdzie należy kopać, bo dotychczas to mało znajdujemy złota, bracie!

Łoski kiwnął głową i odpowiedział natychmiast:

— Niech tylko znajdę znane mi miejsce — to i wam pokażę. Na wszystkich nas starczyć powinno!

W kilka minut po tej rozmowie Łoski siedział już w jednym z szałasów i chciwie pił „herbatę“ z suszonych liści borówek i jagód poziomkowych, częstując nowych znajomych sucharami.

Przezwiseka tych ludzi dowodziły najlepiej, że natrafił na włóczęgów — uciekinierów z więzień dla przestępców kryminalnych, lub może nawet z wyspy wygnania — Sachalinu.

Kruk, Wilk, Kamień, Szydło i Stary Włóczykij — tak brzmiały te, aczkolwiek wyraziste, lecz nie wzbudzające zaufania, przezwiseka.

— Nazywam się... nazywam... „Buntownik“, — przedstawił im się Łoski, postanowiwszy nie zdradzać swego prawdziwego imienia, co zresztą nie zdziwiło bynajmniej zacnej kompanji, a nawet uspokoiło ją znacznie.

— O! No to — nasz! — wołali druchy, śmiejąc się chytrze.

Łoski, zajrzawszy do wszystkich szałasów, przekonał się, że włóczęgowie posiadali rydle, kilofy, żelazne misy do przemywania złotonośnej ziemi i dwa karabiny bez ładownic.

— Arsenał — niebogaty! — zauważył, oczami wskazując na broń.

— A no, niebardzo! — zgodził się Kruk. — Buchnęliśmy je pijanym pocziarżom w karczmie... Mamy razem dziesięć nabożów... Nie, — ośm, bo dwa na ciebie, bracie, zmarnowaliśmy!

— Pocóżeście spotykali mnie taką salwą? Za wielka, jak dla mnie, parada!

Szydło uśmiechnął się krzywo i odpowiedział:

— Myśleliśmy, że policja przybywa, no i... tego... wypaliliśmy na powitanie...

\* \*

\*

Przy pomocy włóczęgów, skleciwszy naprędce szalas, Łoski następnego dnia wyruszył na wywiad.

Wskazówki setnika okazały się prawidłowe i ścisłe.

Odszukawszy suche łożysko potoku, zbiegającego z gór, Łoski wykrył pod torfem bogate złoża złota.

Mniejsze i większe kawałeczki żółtego metalu można było spostrzec gołym okiem w wydobytym zapomocą rydla piasku i drobnym żwirze.

— Tak! To — tu! — zadecydował Łoski i powrócił do obozu, gdzie na niego czekali już nowi towarzysze, niecierpliwiąc się bardzo.

— Jakżeż ci się powiodło? Znalazłeś złoto? — pytali drżącemi głosami, chciwie patrząc na niego.

— Oho! Nie tak chyżo przystępujcie do poważnej sprawy! — upomniał ich Łoski ze śmiechem. Lecz spostrzegł natychmiast, że oczy włóczęgów spochmurniały, a usta zacięły się mocno.

— Nie klucz, jak zajac, ino — gadaj wszystko! — warknął Kruk i podszedł bliżej.

Łoski poczuł, że ciężką będzie miał z nimi przeprawę, więc szybko ułożył plan postępowania.

— Wpierw, niż czegoś się dowiecie ode mnie, musicie odpowiedzieć mi na jedno pytanie, — oznajmił, wsuwając rękę do kieszeni, w której nosił podarowany mu przez setnika rewolwer, nabity kulami, pożyczonemi u wachmistrza.

— Bajesz od rzeczy, gadaj, o co cię pytamy, inaczej... — to mówiąc, Kruk wyciągnął drapieżne, chwytne ręce, jakgdyby zamierzając porwać Łoskiego za gardło.

Ten zaś, nie ruszając się z miejsca, odparł twardym, dobitnym głosem:

— Schowaj łapska i usiądź grzecznie na pieńku, bracie, bo przyrzekam ci, że jeżeli o krok postąpisz dalej, przedziurawię twój zakuty, kudłaty łeb i nikt już go nie zdrutuje!

Z temi słowami Łoski wyjął rewolwer z kieszeni i oparł go kolbą o kolano.

— Przykro mi niezmiernie, że w ten sposób rozpoczynamy omawianie technicznego planu naszego przedsięwzięcia, szanowni panowie, — dodał, cedząc słowa przez zęby, bo gniew go ponosił.

Kompanja stała zmieszana, ponuro patrząc na swego herszta.

— Widzę, że dobre słowo na was nie działa, — ciągnął Łoski, rozumiejąc myśli włóczęgów. — Zmuszony jestem przeto przemówić wam do rozumu inaczej, a więc popierwsze...

Nim stojący przed nim ludzie zdążyli zrozumieć, co się

stało, Łoski przyskoczył do Kruka i potężnym knock-out'em zwalił go z nóg, poczem, wymierzywszy do stojących razem drabów, krzyknął: — Powtóre — ręce do góry, bo wystrzelam was, jak kuropatwy!



Kompanja natychmiast usłuchała rozkazu i podniosła ręce pokornie.

Siła i stanowcza, narzucająca swoją wolę postawa nowego towarzysza zaimponowały włóczęgom.

— Stójcie teraz i czekajcie! — komenderował dalej Łoski, cofając się z wymierzonym w gromadkę rewolwerem, wbiegł do szałasów Kruka i Szydła, wyniósł z niego karabiny i, wytrząsnąwszy naboje, cisnął broń na ziemię, chowając magazyny do kieszeni.

— To — potrzeicie! — uśmiechnął się, uspokojony już zupełnie. — Ale teraz — czwarty punkt! Czy zamierzacie utworzyć spółkę, czy pracować każdy na własną rękę?

Milczeli, nie decydując się na odpowiedź stanowczą.

Wreszcie Stary Włóczykij mruknął:

— A wy, co nam radzicie?

Łoski roześmiał się w duchu, lecz odezwał się spokojnym głosem:

— Opuśćcie teraz ręce i siadajcie! Wstawaj Kruku! Po naradzie wprawię ci szczękę, będzie stała na dawnym miejscu, jeżeli nie zmusisz mnie do ponownego jej wybicia... Co do mnie, to radziłbym wam pracować wspólnymi siłami, bo to dałoby lepsze wyniki, gdyż (mogę teraz wam o tem powiedzieć) znalazłem obfite złoto w znanym mi miejscu i wcale nie mam zamiaru sam z niego korzystać, pozwalając wam dłubać biedną ziemię, z ochłapami skarbów, ukrytych gdzieindziej.

Włóczęgowie zaczęli się naradzać półgłosem, a nawet kłócić się pomiędzy sobą, aż wkońcu Kruk, podtrzymując skaleczoną szczękę, wybulgotał:

— Bractwo postanowiło pójść za waszą radą, Buntowniku, i pracować wspólnie, dzieląc złoto pomiędzy nas sześciu.

Łoski w milczeniu potrząsnął głową i, wcisnąwszy rewolwer do kieszeni, poszedł do swego szałas.

Tegoż samego dnia spółka przeniosła się do suchego łożyska w górach i założyła nowe osiedle, przygotowując się do pracy.

Łoski ze strzelbą na ramieniu oglądał i badał wąwóz.

Wkrótce zrozumiał, dlaczego natura zgromadziła tu obfity zapas złota.

Istniejąca niegdyś rzeka rozmywała strome swe brzegi i wypłókiwała złoto ze skał, niosąc z prądem cząstki metalu i rozrzucając je po całej równinie, leżącej u stóp grzbietu górskiego.

Pewnego razu (zdarzyło się to zapewne przed dziesiątkami lub setkami tysięcy lat), część gór zawałiła się i przegrodziła

bieg rzeki. Przy tej tamie utworzyło się jezioro, a na jego dnie wpadający prąd rzeki składał piasek, ziemię i złoto. Z biegiem czasu rzeka znikła, czy może znalazła sobie ujście w innym kierunku. Jezioro powoli wymarzało i wysychało, zarastając grązelami, rzęsą, mchem i sitowiem, tworzącymi grubą warstwę torfu, pod którym pozostały w ukryciu pokłady złotodajnego piasku.

Powróciwszy do obozu, Łoski przyłapał nieprzyjazne spojrzenia Kruka i jego przyjaciela Szydła, więc postanowił zbudować sobie szałas na uboczu, umieściwszy go na cyplu stromego pagórka.

— Wspaniały mam teraz zamek warowny, — myślał, spoglądając zdołu na dzieło swych rąk. — Z łatwością odpierać z niego mogę każdy napad... bo z tymi drabami wszystko jest możliwe i trzeba być przygotowanym na wszelkie niespodzianki!

W ciągu następnych dni, opracowując i układając plan przyszłych robót, Łoski niespodziewanie zdobył sobie sprzymierzeńców spośród niesfornej i dzikiej bandy włóczęgów.

Włóczykij — siwy, chudy starzec, sterany ciężkiem, nędznem życiem poszukiwacza złota, idąc po drzewo na ognisko, uległ wypadkowi.

Rąbiąc brzozę, nieostroźnie zwałił ją na siebie.

Drzewo, padając, przygniotło mu i złamało nogę.

Wśród zdziczałych i okrutnych byłych aresztantów nie są znane ani koleżeństwo, ani współczucie.

Biedak leżał w szałasie głodny i cierpiał niewymownie. Wiedział, że jeżeli nie wyzdrowieje, to zginie, opuszczony przez przypadkowych i obojętnych towarzyszy.



Łoski dopiero nazajutrz dowiedział się o wypadku ze starym Włóczykijem. Poszedł więc do niego, obejrzał mu nogę i, zrobiwszy dobry, staranny opatrunek, nakarmił i napił chorego.

— Źle jest, — skarżył się Włóczykij, — nie będę mógł pracować i nie zdobędę złota...

Łoski uspokoił go, mówiąc, że za dwa tygodnie noga mu się zrośnie.

— Dwa tygodnie! — jęczał starzec. — Ilebym przez ten czas mógł złota wykopać!

— Podzielę się z wami swoją częścią! — pocieszył go Łoski. — Leżcie tylko spokojnie...

Stary Włóczykij zapłakał nagle:

— Panie! Panie! — łkał. — Poraz pierwszy ktoś pożałował mnie i zaopiekował się mną! Toteż wierny będę panu, jak pies... gardło za was każdemu przegryzę...

Długo jeszcze mówił coś i przysięgał, lecz Łoski nie słuchał go, myśląc o tem, że dobrze byłoby przenieść chorego do swego szałas... lepiej — dla Włóczykija, lepiej też i — dla niego samego...

Przetransportowawszy starego na szczyt pagórka, mruknął do siebie:

— Nie jestem już teraz samotny, jak Daniel wśród lwów, mam przy sobie wierną duszę, oddaną mi, zdaje się, szczerze! Nielada to nabytek w mojej sytuacji!

Od tej chwili był już spokojny o swój zamek, bo wzmocnił go załogą, złożoną z Burka i Włóczykija.

\* \*  
\*

Łoski zarządził roboty wstępne, a mianowicie zdjęcie na dużej przestrzeni torfu, pokrywającego złotonośne piaski; gdy skończono z tem, przystąpił do budowy maszyny, przemywającej złoto.

Kruk i Kamień zbijali z jednostronnie ociosanych desek długie koryto, umieszczając na jego dnie poprzeczne przegrody, na których miało się zatrzymywać złoto, znoszone przez szybki prąd.

Należało teraz skierować tu wodę.

Łoski wynalazł w górach dość znaczny potok. Zbudowawszy z pomocą Szydła i Wilka tamę, zmusił wodę, by spadała z wielkiej wysokości do naturalnej kotliny w skałach, skąd musiała płynąć przez koryto, umieszczone niżej.

Podczas pracy w lodowatej wodzie rozchorował się nagle Wilk. Spuchły mu kolana, a ból dolegał mu nieznośnie. Biedak jęczał i nie mógł chodzić. Łoski wiedział, że jest to reumatyzm.

W swoich tobołach miał on salicyl, przysłany mu niegdyś z domu i nieużyty, bo młodzieniec nie chorował nigdy. Środek ten podziałał piorunująco na Wilka, nie nawykłego do lekarstw. Był nawet zdumiony i wystraszony takim skutkiem, więc z zabobonną czcią patrzył na lekarza, którego gotów był uznać za czarownika.

Gdy ból ustał i puchlizna opadła, uradowany i wdzięczny Wilk podszedł do Łoskiego i oświadczył twardym i uroczystym głosem:

— Buntowniku! Jeżeli będziecie potrzebowali mojej pomocy, możecie na mnie liczyć w każdej przygodzie!

— Dziękuję wam! — ucieszył się Łoski, wyciągając do niego rękę. — Obyście tylko nie zapomnieli obietnicy...

— O, nie! Moje słowo — kamień! — odparł poważnie.

Pewnego dnia Łoski oznajmił, że plac jest już dostatecznie przygotowany, a maszyna — w porządku. Rozpoczęto więc pracę nad wydobywaniem złotonośnej ziemi i wymywaniem z niej drogiego metalu.

Kopano ziemię i wrzucano ją do kotliny w skałach. Potok wody rozbijał ją i unosił ze swym prądem do koryta, gdzie ciężkie złoto opadało, spotykając na jego dnie przegrody.

Każdego wieczora zbierano zgromadzony na dnie maszyny drogi metal i dzielono na równe części. Ilość złota, posiadanego przez każdego ze spółki, rosła z dnia na dzień.

Pewnej nocy, śpiący twardym snem Łoski przebudził się nagle. Włóczykij szarpał go za ramię i wołał:

— Tam na dole coś się dzieje! Zabijają się sami, czy ktoś na nich napadł!

Łoski zerwał się z posłania, schwycił rewolwer i wybiegł z szałasem. Burek, ujadając wściekle, towarzyszył mu.

W obozie uciszyło się trochę. Od czasu do czasu rozlegały się tylko ciężkie przekleństwa i jęki.

Łoski dopadł ogniska i przy jego czerwonych blaskach ujrzał Szydła, który leżał związany i skrwawiony, a Kruk, klnąc ohydnie, ciężkim butem kopał go w głowę.

— Zostaw go w spokoju! — krzyknął Polak. — Co się stało? Niech mówi Wilk!

Okazało się, że Szydło odsypał z worka Kruka część złota i zakopał je do ziemi. Spostrzegł to Kamień i wszczął awanturę, która zakończyła się ciężkim pobiciem złodzieja.

Trzeba było działać szybko i mądrze, aby wykorzenić złe obyczaje. Rozumiał to Łoski.

Usiadłszy na leżącym pniu, oznajmił surowym głosem:

— Nie możemy dopuszczać zbrodni wśród nas! Każdy występek będzie karany surowo, lecz nikt poza mną nie ma prawa wydawać wyroku. Żądam tego stanowczo i od żądania swego nie odstąpię. Ogłaszam wyrok! Szydło za dokonaną kradzież zostaje pozbawiony posiadanego złota, które spółka podzieli pomiędzy swymi uczestnikami.

— Zabić go należy — złodzieja, co swoich okrada! — warknął Kruk.

— Gdybyście go zabili, zastrzeliłbym was! — rzekł surowym głosem Łoski. — Za śmierć — śmiercią karać będę!

Bractwo w milczeniu wysłuchało wyroku i krótkiego, stanowczego prawa karnego, ogłoszonego przez „Buntownika“.

Od tej nocy stał się on sędzią i prawodawcą.

Nikt nie śmiał mu się przeciwstawić, gdyż wszyscy czuli, że człowiek ten posiada niezłomną wolę i umie ją wcielać w czyn.

Od tego pamiętnego dnia na kopalni złota zapanowała cisza i spokój.

Wszyscy pracowali sumiennie, nie szczędząc sił. Pomiędzy uczestnikami spółki ustalił się dobry, a nawet przyjazny stosunek wzajemny, co niewymownie cieszyło Łoskiego.

Stary Włóczykij i Wilk powrócili do zdrowia i, chociaż obaj kuleli jeszcze, jednak pracowali wraz z innymi.

Łoski, uważny na wszystko i obeznany z geologią, spostrzegł wkrótce, że ilość złota w piasku zwiększa się w miarę tego, jak się zbliżano do stromych zboczy gór. Wywnioskowawszy z tego, iż dawne łóżysko złotonośnej rzeki zostało niegdyś przywalone obsuwającymi się górami i że głównych pokładów należało szukać we wnętrzu otaczających wąwóz uskoków górskich, młodzieniec zgromadził wokół siebie towarzyszy i przemówił do nich głosem, nie

dopuszczającym sprzeciwu:

— Musimy zmienić plan naszej pracy! Trzeba się śpieszyć, bo lato jest krótkie i zmuszeni jesteśmy wykorzystać ten czas rozumnie. Od jutra zaczniemy przebijać pochyły szyb u podnóża gór, bo tam właśnie znajdziemy najbogatsze złoża. Trzeba też będzie przeciągnąć koryto na większej przestrzeni, aby jak najwięcej złota zostawało na jego dnie.

— Przerwa w robocie... — zamruczał Kruk.

— Tak! — natychmiast odpowiedział Łoski. — Ręcę wam, iż stokrotnie okupi się nam ta przerwa! Więc od jutra zaczynamy! Bądźcie zdrowi!

Skinąwszy im ręką, poszedł ku swemu szałasowi na pagórku, gdzie, zwęszywszy go zdaleka, szczekał już radośnie mały, kosmaty Burek, strzegący „zamku warownego“.

Za odchodzącym młodzieńcem, wzdychając i sapiąc, pokulał nieodstępny Włóczykij.

Praca z przebijaniem szybu trudna była i niebezpieczna.

Ludzie zmuszeni byli rąbać brzozy i świerki i ciosać z nich pale i deski, aby podpierać i umocowywać ściany i sklepienia galerji. Nieraz jednak odrywały się kamienie i kaleczyły pracujących ludzi, których góra nie chciała, zdawało się, dopuścić do ukrytego w jej piersi skarbu.

Myśl ludzka zwalczyła jednak wszystko, a potężna wola doprowadziła do zamierzonego celu.

W głębi zboczy górskich Łoski istotnie wykrył niezwykle obfite gniazdo, gdzie przed wiekami rzeka złożyła małe i duże kawałki złota. W szybie coraz częściej rozlegały się teraz radosne okrzyki, gdy kilof lub rydel pracującego człowieka natrafiał na wielką, połyskującą bryłę drogiego metalu.

Zapasy złota w szałasach rosły z dniem każdym.

W tych samych pokładach Kamień zrobił nieoczekiwane odkrycie, odkopawszy doskonale przechowaną czaszkę jakiegoś potwora i kilka olbrzymich kości. Łoski wytłumaczył zdziwionym towarzyszom, że kości te należały do włochatego nosorożca, który żył wtedy, gdy ludzie nie znali jeszcze ani miedzi, ani żelaza i pędzili żywot dziki, kryjąc się w głębokich jaskiniach.

— Poszukajmy dobrze, może znajdziemy coś, co wyjaśni nam, jaką śmiercią zginął ten nosorożec? — zakończył swoje opowiadanie Łoski.

Istotnie, wieczorem, zdejmując z koryta złoto, młodzieniec zwrócił uwagę na kilka krzemieni dziwnej formy. Obejrząwszy je uważnie, uśmiechnął się i zawołał:

— Chodźcie-no tu, towarzysze! Widzicie te kamyki? Są to ostrza dzid i strzał, któremi się posługiwali nasi dalecy przodkowie — ludzie kamiennego wieku, zapewne mieszkańcy tutejszych jaskiń! Drogo dałby za to odkrycie jakiś uczonec, aby móc dowieść, że pierwotna kultura ludzka sięgała tak daleko na skrajną północ! Złóżcie tymczasem kości i te kamyki w bezpiecznym miejscu, chociaż nie są one nam potrzebne.

Koniec lata zbliżał się szybko.

Świadczyły o tem zrywające się nad ranem silne poddmuchy zimnego wiatru i klucze kaczek, kulików i gęsi, zaczynających gromadzić się w wielkie stada przed odlotem na południe.

Ludzie pracowali do późnej nocy, aby, zdobywszy jak najwięcej złota, z pierwszymi mrozami rozpocząć wędrówkę ku wymarzonemu celowi, który dla każdego z nich był inny.

Kruk marzył o mieście, gdzie mógłby hulać, pić i grać w karty; Włóczykij wdychał do jakiejś małej wioski nad Kamą, gdzie, jak myślał, mieszkała jeszcze jego siostra, porzucona

przez niego przed dwudziestu laty; Wilk zamierzał przedzierać się do Finlandji, skąd pochodził i gdzie mógłby kupić sobie żaglowiec i rozwozić w nim najtrwalszy i najbarwniejszy granit po całym świecie; Łoski dążył do wolności i do ludzkiego życia — prawego, płynącego w pracy, pożytecznej dla ludzi i zgodnej z jego sumieniem i upodobaniem.

Praca w szybie nużyła i wyczerpywała ludzi, gdyż zmuszeni byli wdzierać się wgłąb stale tu zmarzniętej na kamień ziemi, twardej, jak skała, a jednocześnie łatwo pękającej i przy wysychaniu obsypującej się nagle. Łoski zmuszony więc był śledzić bacznie, aby towarzysze jego spełniali ściśle wydawane im rozkazy. Chodziło o to, aby każdy metr galerji, wybijanej w górze, był natychmiast umocniony podporami z palów i okryty powałą, broniącą przed osypami. Nieraz całe dnie schodziły na przeprowadzaniu tych zabiegów, chroniących ludzi przed niechybną zgubą w szybie, prawie pozbawionym powietrza i słabo oświetlonym płonącymi szczapami.

Łoskiemu, gdy wczołgiwał się do przebijanego coraz głębiej ukośnego szybu, czyli tak zwanej — orty, — nieraz się zdawało, że stała się dłuższą, niż pozostawił ją poprzedniego dnia. Tem swoim spostrzeżeniem podzielił się kiedyś z Wilkiem, lecz Finlandczyk tylko oczy spuścił, zacisnął wargi i nic nie odpowiadał. Zachowanie się jego wzbudziło w młodzieńcu jakieś niejasne podejrzenia, lecz nie pytał go więcej o nic, widząc, że Wilk nie chce lub nie może być szczery.

Nazajutrz, wszedłszy pierwszy do orty, gdyż wypadła jego kolej „robienia głowy“, zdumiał się. Niewątpliwie, ktoś tu pracował przed rozpoczęciem roboty tego dnia, pracował bez planu i w pośpiechu. Świadczyły o tem świeżo odwalone bryły

ziemi, nieprawidłowy kierunek wykopu i ciągle odnogi na wszystkie strony od głównej galerji. Przemawiało to za tem, że niby ktoś szukał tu czegoś, odwalając ziemię w różnych kierunkach.

— Któż mógłby zakradać się do szybu i tak bezładnie pracować, narażając swe życie, bo nie zabezpieczał się przed możliwem obsunięciem ziemi i warstw skalnych? — zadawał sobie pytanie Łoski.

Nie mógł znaleźć tymczasem żadnej odpowiedzi, więc wieczorem, pozostawszy sam na sam z Włóczykijem, zapytał go o to.

Stary poszukiwacz złota nachmurzył siwe brwi i milczał. Gdy jednak Łoski nastawał na odpowiedź, Włóczykij mruknął niby od niechcienia:

— Jesteście, panie, nowym w tych sprawach człowiekiem... Nie pracowaliście nigdy na kopalniach, więc nie znacie panujących tam obyczajów... Ale ja was wtajemniczać w to nie mogę... nie śmiem, bo za to i mnie i wam mogłaby grozić śmierć. Zawsze tak było, jest i będzie, gdy ludzie znajdą bogate złoto i dorwą się do niego!..

Łoski tupnął nogą i wybuchnął:

— Rozumiem teraz! Ktoś z naszej spółki zakrada się do szybu... Powiadacie, że tak było i tak będzie? Właśnie, że nie! Tego więc nie będzie — moja w tem głowa...

Włóczykij ze smutkiem pokiwał głową i zamruczał:

— Hej, panie, nie przeciągajcie struny! Bractwo zniesie wszystko, tylko nie to...

Łoski sprawdzał teraz po nocach, czy wszyscy są w obozie, robił znaki w szybie, odchodząc z robót ostatni. Niepokojące go objawy czyjegoś ryzykownego gospodarowania w szybie



znikły. Rozpoczynając pracę w orcie, — znajdował w niej wszystko w porządku.

— Zrozumieli zapewne, że domyślam się, i porzucili niebezpieczny proceder, — zawyrokował Łoski i uspokoił się zupełnie.

Pewnej nocy nie mógł usnąć. Zbierało się na burzę. Powietrze — parne i duszne — naładowane było elektrycznością. Łoski oddychał z trudem, a krew tak mocno pulsowała mu w skroniach, że chwilami czuł ostry ból, jakgdyby żyły miały pęknąć lada chwila.

Łoski bez szmeru wyszedł z szałasów i z pagórka zeszedł nadół.

Rosły tam gęste krzaki wiklin i młody gąszcz świerkowy, przez który biegła ścieżka z obozu do szybu.

Łoski szedł nią bez celu, o niczem nie myśląc i palcami ściskając sobie skronie.

Podniósł głowę, posłyszawszy cichy szelest w haszczach.

— Wilk, czy lis? — mignęła mu myśl, lecz w tej samej chwili w powietrzu gwizdnął kamień, a tak blisko od jego głowy, że silny prąd powietrza wionął na niego.

Nie namyślając się długo, przykucnął pod krzakiem i nadśluchiwał.

Nic nie mąciło ciszy nocnej, chyba tylko żaby rechotały woddali i z cichem cykaniem krążyły, łapiąc komary i muszki, drobne nietoperze północne.

Oglądając się ostrożnie, Łoski powrócił do szałasów i resztę nocy przemyślał nad nieoczekiwanem zajściem, które groziło w jego powagę i narzuconą całemu bractwu władzę. Nie wiedział jednak, w jaki sposób wprowadzić dawny ład i posłuch.

Zwyczajny przypadek przyszedł mu z pomocą.

Pewnego razu śpiącego młodzieńca obudziło ujadanie Burka. Wyszedłszy z szałas, Łoski ogarnął wzrokiem całą równinę i wąwóz. Nikogo jednak nie spostrzegł i nic nie wzbudziło w nim podejżenia. Stał więc na szczycie pagórka i zamyślił się o oczekującej go wkrótce niebezpiecznej podróży przez Syberję.

Wyrwał go z zadumy jakiś głuchy, przeciągły huk, a po chwili głośnie, rozpaczliwe nawoływania. Poznawszy głos Szydła, dobiegający od strony szybu, Łoski obudził Włóczykija i wraz z nim pobiegł na miejsce robót.

Zatrzymali się przed ciemnym otworem, prowadzącym do galerji podziemnej.

Pełne bólu i przerażenia krzyki dobiegały z jej głębi.

— Pocóż to Szydło poszedł w nocy do kopalni? — zadał pytanie Łoski.

— Ech, panie! — mruknał stary poszukiwacz złota. — Zwykła to rzecz!.. Gdy wszyscy spali, zakradał się on do szybu i kopał, aby się nie dzielić zdobyczą z innymi... Często się to zdarza na kopalniach... Teraz mogę wam o tem powiedzieć, bo Kruka już chyba niema na świecie...

— Rozpalcie ognisko, aby rozświetlić szyb! — kazał młodzieniec, a gdy smolne gałęzie świerkowe buchnęły wysokim płomieniem, zaczął się czołgać do wnętrza szybu.

Znalazł tam Szydła, który leżał przygnieciony osypami ziemi i kamieni.

— Pobiegnę po ludzi, aby odrzucili zwaliska, — surowym głosem oznajmił Łoski, lecz Szydło zaczął błagać, aby nie pozostawiał go samego.

— Nie baliście się okradać nas, czegoż obawiacie się teraz?

— spytał.

— Panie, panie... — bełkotał Szydło, szcękając zębami. — Tam... tam... leży nieboszczyk. Kruk kopał pierwszy... gdy obsunęła się ziemia... teraz leży tam... martwy.

Nie było chwili do stracenia. Łoski wyczołgał się z galerji, posłał Włóczykija po rydle, sam zaś obudził towarzyszy i sprowadził ich na pomoc.

Wyciągnięto wkrótce Szydła z pogniecionemi nogami i żebrami i zaczęto odwalać kamienie i ziemię, aby dotrzeć do Kruka.

Dopiero wieczorem wydobyli go towarzysze.

Nie żył już, śmiercią przyplaciwszy chciwość swoją i nieposzanowanie prawa.

Wypadek ten zmusił Łoskiego do głębokiego namysłu i rachunku sumienia.

Musiał się przyznać samemu sobie, że i jego też porwała drapieżna chciwość, dążenie do wyrwania ziemi jak największej ilości złota.

— Poco mi ono? I tak nie udźwignę wszystkiego, co mam! — myślał, zły na siebie. — Dziesiątej części starczy mi na zdobycie wolności i rozpoczęcie nowego życia. Dość tego! Jutro wyruszam w drogę!

Jednakże Łoskiemu nie udało się wykonać swego postanowienia niezwłocznie.

Musiał zająć się pokaleczonym Szydłem, który czuł się coraz gorzej. Nie mógł przecież porzucić towarzysza w ciężkiej potrzebie!

Inni pracowali jeszcze w szybie, bezmyślnie gromadząc skarby, chociaż o przechowaniu ich dla siebie i wykorzystaniu nie mogli nawet marzyć.

Dni mijały, a Szydło bardzo powolnie powracał do zdrowia. Pewnego popołudnia zaszedł niespodziewany wypadek, rozstrzygający los wygnańca.

Spoza gór na równinę wynurzyło się nagle kilku ludzi.

W obozie natychmiast powstał popłoch nie do opisania.

— Policja! Kozacy! — wołali włóczęgowie, pędząc naoslep w stronę lasu i zapominając o swoim złocie, porzuconem w szałasach.

Łoski pozostał sam. Po namyśle poszedł naprzeciw nieoczekiwanych gości.

Wkrótce wszystko się wyjaśniło.

Okazało się, że na Tajmyrze<sup>[1]</sup>, na który zabrnął Łoski w poszukiwaniu Czerwonych Skał, pracowała naukowa wyprawa, która z geologiem Rhysem na czele przybyła na północ okrętami z Seattle<sup>[2]</sup>. Amerykanie znali język niemiecki, więc Łoski mógł opowiedzieć im o wszystkim, czego doświadczył od dnia swego aresztu i sądu, aż do przybycia w okolice Czerwonych Skał.

Uczeni wzruszeni byli i przejęci losem wygnańca polskiego i oznajmili, że zabiorą go na swój okręt.

Łoski dziękował im serdecznie i mówił, śmiejąc się wesoło:

— Zapłacę panom za swój bilet czaszką nosorożca i narzędziami kamiennymi tych ludzi, którzy przed nami zamieszkiwali te okolice i krzewili tu kulturę pierwotną...

\* \*  
\*

W rok potem Łoski, powróciwszy z Ameryki do Krakowa, wyprawił list do setnika Ratimowa, donosząc mu, że pogromca

wilków z tajgi Olchowej i odkrywca złota Czerwonych Skał dotarł szczęśliwie do domu i zasyła jemu i jego małżonce serdeczne pozdrowienia.

K O N I E C.



---

„Drukarnia Popularna“,  
Warszawa, Sienna 33.

## Przypisy

1. ↑ Tajmyr — półwysep na północy Azji, oblewany przez Ocean Lodowaty.
2. ↑ Seattle — amerykański port na Oceanie Spokojnym.

Ⓒ Tekst jest własnością publiczną (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Ferdynand Ossendowski.

# O tej publikacji cyfrowej

Ten e-book pochodzi z wolnej biblioteki internetowej [Wikiźródła](#)<sup>[1]</sup>. Biblioteka ta, tworzona przez wolontariuszy, ma na celu stworzenie ogólnodostępnego zbioru różnorodnych publikacji: powieści, poezji, artykułów naukowych, itp.

W publikacji została zachowana oryginalna ortografia, oczywiste błędy w druku zostały poprawione przez redaktorów Wikiźródeł.

Wersja źródłowa tego e-booka znajduje się na stronie: [Złoto czerwonych skał](#)

Książki z Wikiźródeł są dostępne bezpłatnie, począwszy od utworów nie podlegających pod prawo autorskie, poprzez takie, do których prawa już wygasły i kończąc na tych, opublikowanych na wolnej licencji. E-booki z Wikiźródeł mogą być wykorzystywane do dowolnych celów (także komercyjnie), na zasadach licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach wersja 3.0 Polska](#)<sup>[2]</sup>.

Wikiźródła wciąż poszukują nowych wolontariuszy. [Przyłącz się do nas!](#)<sup>[3]</sup>

Możliwe, że podczas tworzenia tej książki popełnione zostały pewne błędy. Można je zgłaszać na [tej stronie](#)<sup>[4]</sup>.

W tworzeniu niniejszej książki uczestniczyli następujący wolontariusze:

- Ankry
- Joanna Le
- Grobur
- Nawider

- 
1. [↑ https://pl.wikisource.org](https://pl.wikisource.org)
  2. [↑ http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/pl](http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/pl)
  3. [↑ https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze\\_kroki](https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kroki)
  4. [↑ http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium](http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium)